

Wojciech Stanisławski: Bolesław Ukryty

To dziwne: Bolesław Chrobry nie został świętym, chociaż dostąpili świętości Istvan, Włodzimierz Wielki, serbski Stefan Pierwszy Koronowany (Prvovenčani), norweski Olaf II Haraldsson, angielski Edward Wyznawca – i tuzin innych królów-chrzczicieli, którzy mieli na sumieniu podobne jak Bolesław lub większe przewiny. Co więcej, świętym nie został nikt z rozbudowanej dynastii Piastowskiej! – pisał Wojciech Stanisławski w 9. numerze rocznika Teologii Politycznej.

Od czego zacząć? Wyobraźni brakuje punktu zaczepienia, ziemia osuwa się spod nóg. Żadnych niemal miłych sercu i właścicielom sklepików pamiątek. „Szczerbiec”, którym już w „Kronice Wielkopolskiej”, król tłucze o Złotą Bramę – wiadomo, czysty wymysł: w roku 1018, kiedy, jak chce Mickiewicz, „Mąż z królem Bolesławem / poszedł na Kijowiany” („Lilije”), ani Złotej Bramy jeszcze nie było, ani płaskiego jak flądra miecza, ceremonialnego bawidelka, wykutego w XIII wieku, a po rozbiorach wędrującego od pruskiego skarbcza (po zrabowaniu go w 1795 r. na Wawelu) po petersburski Ermitaż, gdzie trafił jako część spadku po ambasadorze Imperium Rosyjskiego w Paryżu, Aleksandrze Bazilewskim, kolekcjonerze curiosów dynastycznych. Relikwie świętego Wojciecha – też niespokojne: większość, po czeskim rabunku, spoczywa w katedrze św. Wita w Pradze, ramię - w Akwizgranie; w Tumie pod Łęczycą leży, via Roma tu przybyła, garść błękitnych kostek.

Włócznia św. Maurycego, *Sancta et Crucifera Imperialis Lancae*? Już w dniu wręczenia przez Ottona III, w kwietniu roku milenijnego była kopią, dyplomatycznym gadżetem, jedną z kilkunastu, skoro podobną ludzkie cesarscy zechcieli obdarować Stefana Węgierskiego, Brzetysława II, ba, nawet ród hrabiów Alzacji. A jej święty rdzeń, rdzawy wiór gwoźdźcia z Krzyża Świętego? Dawno temu został wywieziony przez króla-tułacza Jana Kazimierza, a potem złupiony i zgubiony podczas plądrowania przez jakobinów murów opactwa Saint-Germain-des-Prés. Kto wie, w jakich gruzowiskach tkwią atomy naznaczone krwią Zbawiciela, ile razy przetapiano je w męczeńskim kręgu przemian, którym poddane są metale? Niezła to metafora na opowieść o polskich wygnańcach, o roztrwonieniu dziedzictwa – ale w gablocie pusto.

Więc co zostaje? Denar Chrobrego: szara blaszka, na której można się dopatrzeć siwozielonych plam grynszpanu, przypomina trochę dno łuski wydłubanej z wału strzelnicy. Widać nawet jakby ślad po iglicy, tak przydatny przy próbach identyfikacji broni: niezgrabny kontur ptaka, który według różnych szkół archeologicznych może być gołębiem, kogutem lub pawiem, ale my chcemy w nim widzieć orła, i litery, układające się (tam, gdzie mincerz nie pomylił lub nie przesunął stempla) we frazę „Princeps Poloniae”. Rzadki przypadek tytulatury bez imienia panującego to taki nasz najstarszy romanizm, rodem ponoć z księstwa Benewentu, skąd ideę, a może i stemple do bicia monet przywiózł był brat świętego, Radzim-Gaudenty. Więc mamy łuski z odciskiem ptaka, koncept dobry na klamrę, spinającą czas narodzin i zapaści królestwa Polaków, chociaż tych wykopanych z wojennych i katyńskich okopów uzbierałyby się tysiące, a tych Bolesławowych – ledwie dwie setki.

*Więc co zostaje? Denar
Chrobrego: szara blaszka, na
której można się dopatrzeć
siwozielonych plam
grynszpanu, przypomina
trochę dno łuski wydłubanej z
wału strzelnicy*

Cała reszta pamięci
wydaje się na
pierwszy rzut oka
złożona z kolejnych
nawarstwień
werniksu i pozłoty
puchnących tak, że
aż chciałoby się
sięgnąć po papier
ścierny, szare mydło

i zmywać, zdrapywać, a jak będzie trzeba, odłupywać te retoryczne grudy, te purchle pochlebstw, żeby dotrzeć w końcu do okrucu bodaj prawdy o księciu i królu. Bo choćby wizerunek: tak zmyślony, a tak utrwalony. Wyobraźnię rządzi portret z „Pocztu królów polskich” Matejki, rysowanego ołówkiem na zamówienie wiedeńskiego wydawcy, a podmalowanego już po śmierci właściwego twórcy przez Leonarda Strojnowskiego. Bolesławowi Chrobremu broda układa się w kaskadę falujących pukli, wyżej wąs płowy i sumiasty („król miał wąs jak Elektryk” – można sobie wyobrazić, za Musierowicz, taką frazę na kartkówce z heroicznym lat 80. XX wieku), zatroskane spojrzenie i otwarta korona z ciętej w burbońskie lilie złotej blachy, niczym z fantazji rysownika komiksu.

Cóż, Matejko miał się na kim wzorować: na ratuszach i na dworach magnackich tzw. sale królewskie, czyli pokoje ozdobione imaginacyjnymi portretami dawnych władców wznoszono w elekcyjnym czasie gdzie się dało. Do tej tradycji nawiązywał i Bacciarelli, malując wielkiego Piasta w Gabinetie Marmurowym na Zamku. Czy jednak patrzymy na Baciarellego, czy na Smuglewicza, czy na Piotra Michałowskiego („Wjazd Chrobrego do Kijowa”), na

czterokrotne bodaj zmaganie się z tematem Matejki (prócz Pocztu – jeszcze „Bolesław Chrobry pod Złotą Bramą” i dwukrotne przymiarki do obrazu „Koronacja pierwszego króla”) czy na najzupełniej anonimowe przedstawienia Króla z Pięcioma Męczennikami z tradycją kamedulską kościołach w Bieniszewie albo w Kazimierzu Biskupim koło Kutna – wszędzie te same pszenne wąsy i stanowczy podbródek. „W rysunku Matejki osoba Chrobrego ma coś w swojej twarzy już z rodu polskiego i przypomina jakby bohaterski typ ludu naszego. Mężny, dzielny, ma on mazowieckie rysy” – entuzjasmował się Mieczysław Rokosz, znawca ikonografii Piastów. Diabła tam mazowieckie: to rysy bohatera filmów akcji klasy B. B jak Bolesław?

A im mniej zachowane – tym więcej dopowiedziane, i tym więcej anachronicznych marzeń obciąża Bolesławowe barki. Ot, mauzoleum Mieszka i Bolesława wzniesione w katedrze poznańskiej, słynna Złota Kaplica: w pół wieku po pożarze i zawaleniu się wieży w rozbiorowym roku 1772, kiedy to w rumowisku zginęła większość monarszych szczątków ocalałych z dawnych najazdów, pojawia się inicjatywa nowego mauzoleum: ksiądz, a później arcybiskup Teofil Woliński zabiega, Edward Raczyński finansuje, komitet zaś postanawia, że kaplicę wzniesie się w stylu bizantyjskim, jako że, w myśl ówczesnych przekonań, państwo Polan i dziedzinę Porfirogenetów łączyły szczególne więzy. Staje więc ośmioboka kaplica projektu Franciszka Lanciego, staje neogotycki sarkofag, na nim zaś – spiżowy posąg Mieszka i Bolesława, ojca i syna, długa Christiana Raucha. Chrobrego obdarowano przy tym kształtnymi ustami i drobnym wąsem księcia Poniatowskiego; baczki litościwie osłania misurka. Neogotyckie kształty, romantyczne zachowania: nieszczęsny Edward Raczyński, niesłusznie oskarżony o malwersacje przy budowie kaplicy, zakończył życie na sposób Jana Potockiego, choć nieco przerysowany, strzelając sobie w głowę z małokalibrowej armaty-wiwatówki.

Tak ciąży ten brokat stylu, te mozolnie konstruowane legendy! Lucjan Siemieński uparł się nawet w 1839 r. zatapiać w Dnieprze cztery trąby, grające w nurtach ruskiej rzeki na polską chwałę:

*...Z łodzi wielkie trąby cztery
Dźwignięto, jako słupy chramu w Retrze,
I zatopiono razem w Dniepru wiry
Podwodną pieśnią zagrało powietrze.
[...]
I wenedzka Odra, i morze Waregów,
Pieśnią tą grały gwoli lackich brzegów
Sam Lech, a nie kto, tę gęźbę rozumie*

Trąby to inwencja Siemieńskiego, ale już od czasów Długosza stał się dla retorów Chrobry nowym Heraklesem, wbijającym żelazne słupy nie w cieśninę Gibraltaru, jak tamten – ale połabskiej Sali (Soławy) i kresowego Dniepru, a czasem i pruskiej Ossy. Kontekst antyczny – ale i wyobrażona mapa mocarstwowej Europy, a może i Słowiańszczyzny? Dr Monika Rudaś-Grodzka z IBL wyszukała w zapomnianych poematach Niemcewicza taką pochwałę Bolesława:

*Słowiańską ziemię swoim uczyniwszy krajem
Kładł kresy swym zaborom Alcida zwyczajem
Stawiąc w Elby i Dniepru nurtach zadziwionych
Żelazne słupy.*

Stało się, jak pisał Mickiewicz w „Wykładach”: „słupy żelazne Bolesława wbiły się mocno w pamięć narodu i są kardynalnymi punktami popularnej mapy Polski”. A on sam – pod warstwami marmuru, bardziej chwilami przypominającego szybkoschnący cement: od niego granice wyobrażone, od niego pseudonimy, wykute w wieku XIX, popularne jeszcze w AK („Bolesławitę” zawdzięczamy Kraszewskiemu, „Chrobrzyca” – Wincentemu Lutosławskiemu), od niego wreszcie imię, jedyne na dobrą sprawę, prócz Mieszka, polskie imię dynastyczne: Jerzy Strzelczyk pracowicie wylicza 44 Piastów o imieniu Bolesław: większość z nich, co nie dziwne, pojawia się na rozdrobnionym Śląsku (choć ostatnim Bolesławem na tronie był książę warszawski Bolesław V, zmarły w 1488 r.), poza dynastię wyjdzie to imię dopiero w wieku XIV – jako „Bolek, kmetho de Kossow”...

Dałoby się to jeszcze wybaczyć, wiedząc, jak wielką była potrzeba pokrzepienia, rozumiejąc, że na dobrą sprawę nie ma mowy o biografii we współczesnym znaczeniu tego słowa w przypadku osoby rodem z głębokiego średniowiecza, i że skazani jesteśmy w takiej sytuacji na śledzenie ech, odbić i zniekształceń w kolejnych rocznikach kapitulnych, z nadzieją na strzęp bodaj wiedzy. I pewnie znieśliśmybyśmy handicap, jakim dla pamięci zbiorowej są niepoważne, ale nie dające się z niej wypłenić skojarzenia i urazy, jakie przyniósł nam wiek XX, kiedy to na dziejach Polski tak fatalnie zaciążył *kmetho de Rury Jezuickie* Bolesław Bierut i mniejsze mające pole działania, lecz bardziej demoniczny *kmetho de Łódź*, Bolesław Piasecki. A przecież jest jeszcze trzeci trop – i żal największy, za wielkość, która sama siebie okulała, ośmieszyła – *kmetho de Popowo*, Lech Wałęsa.

Błahe to, choć dokuczliwe, trzyma się pamięci kiej – w tym miejscu pozwolę sobie na parafrazę Antoniego Gołubiewa z jednej z niezliczonych stron jego Bolkowego pięcioksięgu – „wżarte w otrokową suknię rzepowe kulki i łodygi rdestu”. Ale dalibyśmy sobie z tym radę. Gorszy i cięższy do uporania się trop to usynowienie Bolesława przez całą „polską tradycję orientacji piastowskiej”.

Mniejsza jeszcze o międzywojnie, kiedy toczyła się w miarę swobodna gra sił z pamięcią historyczną: narodowcy już wtedy brali górę, „mieczyk Chrobrego” po raz pierwszy pojawi się w ikonografii Obozu Wielkiej Polski, a w chwilę później kolejne ONR-y i Wszechpolacy zaczną go sobie symbolicznie wydzierać, wpisując na okalającej ostrze szarfie nazwę organizacji – każdy swoją... Sanacji pozostało całkiem realne wydzieranie go z klap oponentów (przez co dla sędziwych korporantów gadzecik ten nabiera takiej wartości, co – *horribile dictu!* – opornik dla pokolenia stanu wojennego) i animowanie ducha „kresowego” przez powtarzanie w kółko o Bolesławowej wyprawie kijowskiej. Nie było to zbyt spójne (do czasów II RP poeci i historycy polscy pisali o Chrobrym w duchu jagiellońskim i wielonarodowym: wspomniany już Siemieński i cały literacki krąg Ziewonii gromadzili dumki ukraińskie i komponowali własne), ale *passons, passons*.

Prawdziwym wyzwaniem dla dobrej pamięci o Bolesławie okazuje się – przynajmniej w moich oczach – czas PRLu, kiedy to fraza o „powrocie ziem piastowskich do macierzy”, żywa od pierwszych chwil reżimu lubelskiego, w odróżnieniu od innych wątków propagandowych nie ścichnie do końca: wręcz odwrotnie, w miarę, jak komunistyczna ideologia kruszyć się będzie na naszych oczach, będzie wybrzmiewać coraz mocniej, jako skuteczny pomysł na legitymizację reżimu.

*Prawdziwym wyzwaniem dla
dobrej pamięci o Bolesławie
okazuje się – przynajmniej w
moich oczach – czas PRLu*

Ci wszyscy politrucy,
dyskretnie
zachęcający do
wbijania w brzeg
Odry
„Bolesławowych
słupów” z

podmalowanych przydziałową farbą sękatych belek, jakie zostały tu bo batalionie saperów! Ten Michał Bylina, niemal nadworny pejzażysta LWP, który komponował będzie kolejne grupy wojów w szłomach, podpisując je a to „Pierwszy patrol graniczny”, a to „Bolesławowa drużyna”, stojąca na bałtyckim brzegu (jak cierpko zauważa Jerzy Strzelczyk w kongenialnej biografii Chrobrego – i cóż z tego, że właśnie Pomorze Chrobry stracił jako pierwszy, skoro takie było zamówienie polityczne?). Straszliwszy od nich może być chyba tylko obraz (nie pamiętam, czy też Byliny?), upamiętniający podpisanie „Układu zgorzeleckiego” z roku 1950: na pierwszym planie przy stole prezydialnym siedzi dwóch tęgoszyich polityków, błyskają okulary w oprawkach koloru wątrobianego, a za nimi, na ścianie gobelin przedstawiający w archaizującej manierze srogich wojów spod Cedyni i Budziszyna – ot, taka tkanina z Bayeaux na miarę i gust Cyrankiewicza.

Najgorsza była chyba jednak ta uwodzicielska siła, z jaką komuniści przekonali kolejne środowiska, że, wicie, „myśl piastowska” jest tym polem, gdzie wszyscy Polacy dobrej woli mogą się spotkać... I spotykali się. Mniejsza o nieszczęsnego Antoniego Gołubiewa, z tym apokryficznym, powtarzonym przez wszystkich za „Alfabetem Kisiela” zdaniem „przestawiamy się z koncepcji jagiellońskiej na piastowską”, jakie wygłaszać miał rzekomo z półuśmiechem repatriant z Wilna – mniejsza, chociaż przez Gołubiewa prozę niełatwo przebrnąć, osiemset

stron „wzdy”, „czerwie”, „boćkać” plus psychologizowanie jak z Mauriaca. Za Gołubiewem poszli inni, jak nie „Dzikowy skarb” Bunscha to „Saga o jarlu Broniszu” Jana Władysława Grabskiego, polecane przez bibliotekarki szkolne, które starannie okładały je w brązowy papier pakowy. I tylko może nie przypadkiem motyw piastowski nie pojawił się ani u nie stroniącego od historii Miłosza, ani Herberta.

I cały ten Bolesławowy bagaż jawił się – widzę to teraz wyraźnie, skrobiąc swoje *Confession d'un enfant de la République Populaire de Pologne* – jako absolutnie nieznośny ersatz. Ani słowa o tym, co najważniejsze na liście tematów zakazanych – o Wilnie, łagrach, Piłsudskim i Sołżenicynie – lecz za to możecie pławić się, ile chcecie, w urojeniach mocy, podczas urządzanych z udziałem Kompanii Reprezentacyjnej LWP rekonstrukcjach dźwigać wykonane ze sklejki pawęże, i nosić się z piastowską plerezą, ni to jak Bolesław, ni jak piłkarz Orłów Górskiego... Tylko od tamtego, wiecie – wara! Szlaki piastowskie, czekolada „Piastowska”, w kioskach Ruchu wyblakłe widokówki z odbudowanymi rotundami – zwiedzajcie Ziemię Lubuską!

A do tego PAXowcy, kmetho de Łódź Piasecki i jego wierna ekipa, którzy mają swoją mądrość dziejową – trzymać się Odry i Nysy, nieważne, czy z Sierowem, czy z Rapackim! – i są w stanie uwieść tą myślą, tą biedamocarstwowością na ruskiej smyczy niemal każdego, od Gołubiewa po Bylinę, od Zygmunta Wojciechowskiego, który odtworzy Instytut Zachodni, po J.W. Grabskiego... Nieraz, w gorączce, zwiduje mi się jakaś akademia urządzona przez PAX w Kołobrzegu czy Zielonej Górze pod hasłem „Wierni linii Partii i Bolesława”, na której udało się zgromadzić wszystkich miejscowych notabli; z boku przysiadł utrudzony ksiądz-patriota z wiązanką kwiatów, nauczyciel historii, organizator konkursu „Czy znasz piastowskie tradycje”, musztruje

pupili, ale tymczasem do występu przygotowuje się zespół „Podwiki” i sam straszliwy Mieczysław Kurzyna rozpromienia się, słysząc, jak w czasie chwilowych niedoborów na rynku, kiedy w sklepach rybnych króluje zarobaczony błękitek, wspierane przez syntezator alty i soprany ósmoklasistek zmagają się z pieśnią Krzywoustowych wojów, ułożoną przez Galla Anonima, a kongenialnie przełożoną przez Romana Grodeckiego: „Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące, / My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!”. No brawo, brawo!

Oczywiście, to są tylko fantazmaty. Spisuję je, żeby wytłumaczyć, jak trudno się z nich otrząsnąć, jak marzy się już nie jakieś rozpisane na kolejne szkice „rozbieranie infantki”, pozbywanie się z werniksu z postaci Bolesława – a wręcz jakaś dekonstrukcja radykalna, jakiś nowy Francis Bacon, który wzięłby na warsztat już nie Innocentego X, a właśnie podmalowany karton Matejki, by w jego miejsce namalować coś na kształt szkiców do królewskich witraży Wyspiańskiego. Na tym obrazie król-Wielki Inkwizytor, sam uprowadzający z Kijowa nałożnice, lecz cudzołożnych poddanych przybijający, według chwającego takie praktyki Thietmara, gwoździem za mosznę do belki, gruchoczący kamieniem żuchwy za niedotrzymanie postu, nie uśmiechałby się już łagodnie i płowo; iskry żądzzy żarzyłyby się w oczodołach.

A wyzwoliwszy się z urazów, zacząć trzeba od nowa. Bez gniewu czytać Thietmara, Galla i „Kronikę wielkopolską”, przechodząc do porządku dziennego nad ich pierzaście puchnącymi frazami, nad przyrównywaniem Bolesława do „Atlety Chrystusowego”, apostoła, gołębiczy i filaru. Czytać je w duchu Jacka Banaszkiewicza, od lat

zajmującego się wątkami fabularno-legendarnymi wczesnośredniowiecznych tradycji dynastycznych – a zarazem *sub specie* „Foreign Affairs” – tych sprzed kilku lat, kiedy State Building ciągle wydawało się najlepszym pomysłem na Afganistan, Bośnię, Zambię i całą resztę świata.

Bo był w końcu Bolesław, w pierwszym przybliżeniu, *state builderem*, który zastał Polskę rozproszoną – pozostawił jednolitą. Co tam zresztą „rozproszoną”: to był konglomerat. Historycy późnego średniowiecza, od Blocha do Huzingi, mogą sobie z lubością malować pstry patchwork obediencji i lenn, składający się na ówczesną Burgundię czy Alzację. Wczesnopiastowskie ziemie to – starczy sięgnąć po „Dagome iudex”, by się o tym przekonać – „civitas Schinesghe”, pewnie w dorzeczu Warty, choć o bliżej nieokreślonych granicach, oraz, jak chcą juryści, a za nimi Gall, „pertynencje” rozmaite, odludzia, zwasalizowane ludy lub przyczółki, na których stoi drewniana warownia. Całość przypomina raczej darniową rudę – a Bolesław, gdyby komuś po trąbach i słupach mało było jeszcze metalurgicznych metafor jawi się niczym kowal, który wykuwa z tej rudy jednolite państwo.

Robił to na wiele sposobów: archeolodzy co i raz dorzucają do puli odkryć kolejny gród powstały na przełomie X i XI wieku – znamy ich kilkadziesiąt, a wyobraźnia dopowiada, o ile trudniejsze było budowanie nowych warowni „na kamieniu” niż umacnianie tych istniejących już w przedmieszkowych czasach. A przecież nie były to tylko warownie – większość odkrytych lokacji to grody, w których domyślać się można rynku, regularnej zabudowy, z czasem może kaplicy. A pochylony nad dymarką Bolesław przegarniał szlaki i ludy, prowadząc największą na ziemiach polskich akcję osadniczą: większość osad o „odplemiennych” nazwach, wszystkie te Kaliszany, Raciborze,

Prusy, Pomorzany, Pieczonogi to świadectwa tych inicjatyw – i podbojów, bo w końcu nie da się ukryć, że wyszedł poza domniemywane przez nas granice etniczne – na południu, na wschodzie, na zachodzie.

*Był Bolesław, w pierwszym
przybliżeniu, state builderem,
który zastał Polskę
rozproszoną – pozostawił
jednolitą*

Co więcej, poczynił tam sobie z rozmachem: zamiast fascynować się złupieniem Kijowa, lepiej pomyśleć o wysłanym przez Bolesława znad

Dniepru poselstwie do Konstantynopola. Wiele było interpretacji tego niecodziennego gestu, spekulowano, w czym rzecz, przypominając toczącą się w tym czasie na południu Italii „proxy war” na miarę XI wieku. Na Sycylii ścierały się bowiem w tym czasie w najlepsze siły wspierane przez cesarza Wschodu i Zachodu, obie strony ściągały posiłki i najemników, w pierwszej kolejności wprawdzie Normanów, ale kto wie, może i Polacy by się zdali? Polacy walczący za cesarza z rodu Ludolfingów na Sycylii – to by się spodobało Iwaszkiewiczowi. W rzeczywistości, jak twierdzi bizantynista Maciej Salamon, w liście Bolesława do Konstantynopola szło raczej o tarcia Węgrów z Bizancjum w widłach Sawy i Dunaju i cień taktycznego sojuszu polsko-węgierskiego w tej sprawie – ale ten rozmach jest jak rzucona daleko kotwica.

Nie było jednak podbojów tak wiele, jak wydawałoby się na podstawie spiżowej retoryki: Gall Anonim w każdym razie, który najpełniej chyba przetworzył stosunkowo bliską mu spuściznę Bolesława, wyprawom

wojennym poświęca dwie księgi, cnotom i dobrym rządóm („Złoto bowiem za jego czasów było tak pospolite u wszystkich, jak [dziś] srebro, srebro zaś tanie jak słoma”) – osiem. Czy mogło ich być mniej? Tak uważali nieliczni, wśród nich Antoni Małecki, współwydawca „Monumenta Poloniae Historica”, ale i pogrobowiec stańczyków, który pod koniec XIX w. lamentował w rozprawie, zatytułowanej „Rewizja przeszłości dziejowej” nad „snującą się przez całe dzieje polskie jak nić czerwona (...) nieszczęśliwą ideą, że co się straciło w stosunku do zachodniego sąsiada (...) to nam odbijać należy na pograniczach wschodnich”, przez co „słupy żelazne, bite w łożyska Dniepru i Elby i Sali nie przestały już zatrudniać fantazji potomnego narodu”.

Zwykle jednak, jeśli krytykowano podboje, to nie mając na uwadze bilans sił, lecz rozproszenie środków. Może dlatego jednak nie „Wielki”, chociaż pisano tak o nim początkowo w rocznikach kapitulnych i latopisach ruskich, a tylko „Chrabry”? – zastanawiają się XIX-wieczni dziejopisowie „Czuł ten król powołanie swoje, ale nie całkiem je dopełnił” – karczi Mickiewicz Bolesława w nieopublikowanym za życia konspekcie wykładów z pierwszych wieków Polski, mając mu za złe, że zaniedbał chrystianizacji wygubionych ze szczerem Słowian połabskich i Prusów, a Litwa dopiero za Jagiełły „przyszła do Korony”. Ba, sam Król-Duch u Słowackiego jest zdania, że syn Mieszka I cały spełnił się w wojaczce – i spalił się w niej:

*Uczuł, że tarcza cięży – skrzydła gniotą,
A Sława, z twardej uzyskana siły
Do mogił idzie – lecz nie za mogiły*

Tak, Prusów, Żmudzinów ani Połabian ochrzcić nie zdołał, i Gallowa pochwała za to, że „nie zmuszał ludów barbarzyńskich pogańskich do płacenia pieniężnej daniny, lecz do przyjęcia prawdziwej wiary” jest mocno na wyrost, a i autor „Kroniki Wielkopolskiej” przesadza, kiedy pisze o wzniesionych przez Bolesława sześciu kościołach katedralnych („poznański, gnieźnieński, mazowiecki, który teraz nazywa się plockim, krakowski, wrocławski i lubuski”), choćby dlatego, że i diecezja płocka, i wrocławska – późniejsze. I kiedy Adam z Bremy pisze o nim „Rex Christianissimus”, to wiemy, że jest to kolejna grudka retorycznego kadzidła, która w dym się zmieni.

Tymczasem Bolesław to król od kamieni węgielnych, nie od mirry. Ilu sług Kościoła obecnych było na polskich ziemiach po przyjęciu chrztu przez Mieszka – siedmiu? Dwunastu? To za Bolesława powstanie, po Zjeździe Gnieźnieńskim, metropolia i sieć biskupstw. Ba, wzmianki o „drugiej metropolii” pozwolą mediewistom przez dwa stulecia spierać się, jak dotąd nieskutecznie, czy Gallowi szło o Moguncję, która za pośrednictwem diecezji praskiej sprawowała do roku 1000 jurysdykcję duchową nad Polską południową, czy o Magdeburg, podlegał biskup poznański Unger, czy o hipotetyczną „diecezję wschodniopolską”, przeznaczoną dla zmierzających w stronę Pieczyngów misjonarzy, czy to po prostu muszy błąd kopisty. To za jego czasów możemy wyliczać kolejnych biskupów, choćbyśmy znali ich imiona tylko z klasztornych not obituralnych: Gaudenty obit 1018, Hipolit – 1027, zaraz potem Bossuta, Stefan, Ederam, Roman, Leonhard... To jego przed osunięciem się w niebyt historii chroni gęsta sieć wzmianek, napomknień, not w annałach rozproszonych po całym uniwersum chrześcijańskim świętyń: tu darowizna dla klasztoru św. św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie, tu – dla św. Michała w Bambergu, tu wzmianka w spisany przez Piotra Damianiego w roku 1040 *Żywocie św. Romualda*.

Oczywiście – sięgał Bolesław po ten Kościół jak po rusztowanie dla państwa, rzekłbyś – stalowy pręt zakuty w pancerzu, wiedząc, że tylko za jego sprawą ma szanse wychować przyszłych dyplomatów, rachmistrzów, kanclerzy i dowódców. Bywało, że losy państwa i duchowieństwa splatały się ściślej, niż by to chcieli hagiografowie: ostatecznie, do zamordowania przez rabusiów pięciu Braci Męczenników doszło (jak wiemy z ich żywotu, spisane go przez św. Brunona z Kwerfurtu) dlatego, że jeden z Braci, Benedykt, został wiosną 1003 r. wysłany w podróż do Rzymu i dodatkowo uposażony przez Bolesława w związku ze zleconą mu, być może, misją dyplomatyczną; to wieść o tym srebrze (w międzyczasie zwróconym księciu) miała być bezpośrednią przyczyną rabunku. Władca miał oparcie w Kościele, Kościół – we władcy: prosta symbioza, sen Konstantyna.

Tyle, że nie wszystkie zachowania pierwszego króla Polski da się sprowadzić do tego rodzaju pragmatyzmu za trzy denary. Ceremonialne gesty wobec duchownych, w przytomności których, jak chce Gall Anonim, nigdy nie siadał, można uznać za manifestację, za podpatrzony w Mendeburgu czy w Akwizgranie savoir. Podobnie, jeśli chcielibyśmy być bardzo podejrzliwi, decyzję, by zostać konfratrem kanoników magdeburskich, a nieco później – Pięciu Braci z Międzyrzecza, przez których został, wedle kronikarza Kosmasa, „przyjęty do bractwa i wspólności modlitw”. Gorliwość w ustanawianiu biskupstw i klasztorów mogła płynąć z potrzeby stworzenia elity. Ale co ze skrucą Bolesławową, z opisywaną przez zdumionego, pogardzającego nim Thietmara skłonnością, by „pośród tylu zdrożności badać swoje grzeszne postępowanie”?

A o jakich tęsknotach i o jakich ambicjach świadczyć może jego pragnienie, by uczynić z wczesnośredniowiecznego Krakowa kopię świętego miasta Akwizgranu? Nie wiemy do końca, które z lokacji XI wieku były jego zamiarem tylko i pragnieniem, a które jego dokonaniem. Ale to, o czym pisze Roman Michałowski w pracy „Princeps fundator. Studium z dziejów kultury politycznej w Polsce X-XIII w.” (1993), robi wrażenie:

„W nadwiślańskim mieście pojawiają się te same patrocinia, co i w Akwizgranie Ottona III: Maria Panna, Salwator, Mikołaj i Wojciech. Takie samo jest w obu wypadkach rozmieszczenie obiektów sakralnych: Maria Panna w środku, w najbliższym sąsiedztwie pałacu, pozostałe kościoły naokoło niej, przy czym Salwator i Mikołaj położone były względem siebie po przeciwnej stronie kaplicy pałacowej, wychylając się nieco ku św. Wojciechowi, który znajdował się między nimi. Na tym nie dosyć: gdy się stanęło przy Marii Pannie twarzą do Wojciecha, miało się w obu miastach Salwatora po lewej ręce, a Mikołaja po prawej. Porównywalne są także odległości między tymi kościołami (...) a co więcej, pokrywały się również funkcje obiektów noszących te same wezwania”.

„Bez skazy gołębica”, roztrzepotana w łacińskim epitafium datowanym to na XII, to na XIV wiek (znamy je tylko z kilkunastu nieprecyzyjnych, poetyckich przekazów, więc mediewiści od Lelewela po Gansińca mieli się o co spierać) – to ciągle jeszcze podmuch retoryki. Ale słowa, którym pierwszy raz określono świętego Sebastiana – *athleta Christi*, zapaśnik Chrystusowy – już tak nie rażą. Król udręczony, bezradny, spętany wojnami, któremu zabijają posłów i misjonarzy, który przez ćwierć wieku czeka na koronę. Ksiądz jezuita Jan Zrzelski w roku

Pańskim 1740 wyda w Wilnie rozprawę „Bolesław albo król boleści Jezus Chrystus cierpiący i umierający za naród polski” – kto wie, może wpadła ona w ręce młodemu Słowackiemu, piszącemu o „Boli – Sławie” na kartach „Króla-Ducha”?

To dziwne: nie został świętym, chociaż dostąpili świętości Istvan, Włodzimierz Wielki, serbski Stefan Pierwszy Koronowany (Prvovenčani), norweski Olaf II Haraldsson, angielski Edward Wyznawca – i tuzin innych królów-chrzcicieli, którzy mieli na sumieniu podobne jak Bolesław lub większe przewiny. Co więcej, świętym nie został nikt z rozbudowanej dynastii Piastowskiej! Mógł na tym zaważyć, jak chce Jerzy Strzelczyk, konflikt z pierwszym arcybiskupem gnieźnieńskim Radzimek-Gaudentym; możliwe, że na całą dynastię padł cień za sprawą Bolesława II, biskupobójcy. Ale czy można wykluczyć, że rola świętego patrona kraju, w tylu innych przypadkach obejmowana przez króla, w Polsce przypadła świętemu Wojciechowi (św. Brunonowi, Pięciu Braciom Męczennikom), a Chrobry – usunął się w cień?

Wedle Galla Anonima, na łożu śmierci marzył o „karbunkule świetlistym”, który zrodzi się z jego lędźwi. Karbunkuł, czyli, wedle logiki Gallowej „Kroniki” – Krzywousty zrodził się ze skazą – jak każdy. Ale może nie o Krzywoustym, może nie tylko o nim, traktowała Bolesławowe widzenie? Może i tym, że w „tym kraju, obmytym potopem / Bezkształtnym odtąd i odtąd gotowym” niemal z niczego – z tych kilku grudek kadzidła, przywiezionych w jukach ibn Jakuba i rozżarzonych w wilgotny, kwietniowy ranek wielkanocny? Tych trzech wystraszonych diakonów? Tych dopalających się powoli, napełniających powietrze swądem świętych dębów? - przyjęła się i mnożyła, jak chleby i ryby, Ecclesia?

*Więc niedaremna była krew ułana
Zakrzepła w gwiazdki dla mrówek pod brzozą?
Może nie całkiem godzin potępienia
Piłsudski, chociaż troszczyć się nie umiał
O nic prócz granic? Dwadzieścia lat kupił.
Na sobie nosił delię krzywd i win*

(Czesław Miłosz, „Traktat poetycki”)

Może tylko takie niepewne pocieszenie bywa dane władcom tego obmywanego wodami potopów kraju: że udaje im się wstrzymać koło historii, umocować kamień węgielny, coś ocalić.

Wojciech Stanisławski

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego